



Syn prezydenta

Wanderlust.pl | podróże i proza

Syn prezydenta



Londyn, 21 stycznia 1994.

Styczniowy poranek był mglisty i chłodny, jak zwykle o tej porze roku. Wysoki, młody mężczyzna o podłużnej twarzy i jasnych oczach nie mógł się skupić nad opasłym tomiskiem rozpostartym przed nim na wykończonym ciemnozieloną skórą, solidnym, drewnianym blacie. Klasyczne wydanie *Księgi Dziesięciu Traktatów o Oku* Hunajna ibn Ishaka było lekturą arcyciekawą, klasyczną, a według samego młodzieńca (zapewne ze względu na podświadomą etniczną więź z autorem) wręcz obowiązkową dla adeptów jego fachu. Próbował skupić się na niełatwym tekście, pamiętał przecież, że unikatowe wydanie z 1928 r. w opracowaniu Maxa Meyerhofa zamówił już kilka tygodni wcześniej w uniwersyteckiej bibliotece. Rzecz jednak w tym, że *Księga* nie cechowała się nazbyt wartką akcją dającą przyciągnąć uwagę na dłużej, szczególnie w piątkowy poranek po wczorajszym wyjściu do jednego z pubów na Marylebone Road. Na znudzonej twarzy pojawił się przelotny uśmiech na wspomnienie jego niezdarnie pląsającej, wstawionej koleżanki z kursu (jak zwykle bosy na zalanych lagerami dywanie Metropolitan Bar) do rytmu najnowszego singla Take That.

Wnętrze Wellcome Library przy Euston Road miało dosyć minimalistyczny, acz przytulny wystrój. Lubił tu przychodzić. W odróżnieniu od surowych gmachów oddalonego o zaledwie dwie stacje metra jego macierzystego Western Eye Hospital panowała tu, jak na prawdziwą bibliotekę przystało, sprzyjająca nauce błoga cisza. Młodzieniec zapatrzył się przez chwilę na przejeżdżający za oknem czerwony piętrowy autobus, identyczny jak ten z pocztówki, którą wysłał niedawno rodzinie w swojej ojczyźnie, po czym wrócił do lektury. Nie ma czasu na żarty. Musiał się solidnie przygotować do czekającego go w weekend semestralnego spotkania z profesorem prowadzącym. Spotkanie miało mieć charakter czysto partnerski, jednak nigdy nie wiadomo, kiedy starymu Perry'emu coś się odwidzi i nagle zacznie go przepytwać z przekrojowej budowy rogówki.

Zapisując na kartce papieru tytuł publikacji do której odwoływał się jeden z przypisów, mężczyzna o jasnych oczach nawet nie zauważył wchodzącej do rozległego pomieszczenia postaci. Jej obecność odnotował dopiero, gdy ta przystanęła obok jego biurka na dłuższą chwilę. Młodzieniec uniósł wzrok znad książki i ujrzał niskiego mężczyznę o wyglądzie urzędnika, odzianego w długi ciemny płaszcz.

- Czy może pan udać się ze mną? - chłopak nie znał przybysza, lecz od razu rozpoznał charakterystyczny akcent w jego ojczystym języku.

- Czy coś się stało?

- To raczej pilne - głos mężczyzny w płaszczu był miły, ale stanowczy.

Chłopak pozbierał notatki, zamknął tomisko i pośpiesznie wsunął wszystko do skórzanej aktówki. Wstając zasunął drewniane krzesło i obaj udali się bez słowa do wyjścia. Schodząc na parter w ciasnej klatce kamienicy młodzieniec zastanawiał się cóż takiego mogło się stać. Co prawda nigdy nie widział spotkanego przed chwilą towarzysza, jednak wspólny język oraz sam fakt odnalezienia go w tym miejscu dawał mu pewien cień podejrzeń.

Wątpliwości od razu zostały rozwiane, gdy tylko obaj mężczyźni stanęli na progu drewnianych drzwi biblioteki. Mężczyzna o jasnych oczach od razu rozpoznał stojące kilka metrów dalej zaparkowane auto. Czarny, jak zawsze połyskujący Mercedes W126 w specjalnej wersji 560 SEL. Samochód ambasady. Obaj czym prędzej udali się w stronę auta, młodszy z nich przywitał się z opartym o przednie drzwi kierowcą. Znali się dobrze, nie raz plotkowali wspólnie w kularach nudnych dyplomatycznych imprez.

Po chwili wszyscy trzej wsiedli do zaparkowanej limuzyny. Kierowca odpalił silnik, a pozostali dwaj rozpostarli się naprzeciw siebie na obitych czarną skórą tylnych fotelach. Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w siebie w milczeniu. Wreszcie młodszy spokojnym, lecz nieco poirytowanym całą tą sytuacją tonem przerwał ciszę.

- No więc... wyrwał mnie pan podczas nauki do ważnego egzaminu. Co było tego powodem?

- Panie Bashar, nazywam się Ahmad Alijew, jestem od niedawna attaché ambasady...

- Dobrze, darujmy to sobie. Tego akurat się domyślam.

- Drogi panie... - mężczyzna odchrząknął - zjawilem się tutaj, aby przekazać panu nadzwyczaj ważną wiadomość - głos mężczyzny w płaszczu nabrał jeszcze bardziej wolnego tonu.

- A więc proszę mówić – chłopak stawał się coraz bardziej poirytowany.

- To nie jest takie proste. Wydarzyła się pewna sytuacja, o której muszę pana jak najszybciej powiadomić - mężczyzna ważył już każde wypowiedziane słowo.

- No mówiesz pan! - Wydawało się, że Bashar stracił cierpliwość. Była to jednak naturalna reakcja człowieka, który nagle zdał sobie sprawę, że sytuacja w której się znalazł nie ma bynajmniej charakteru codziennego, a to o czym miał się za chwilę dowiedzieć, będzie miało wielce prawdopodobnie ogromne znaczenie.

- Wydarzyła się wielka tragedia... - starszy mężczyzna do tej pory nader ostrożnie dobierał słowa, musiał jednak w końcu paść dobitny akcent zwiastujący o charakterze przekazywanego powiadomienia.

- No mów człowieku! Coś z moją rodziną? Mój ojciec?! - Bashar stracił już całkowicie panowanie nad swoimi emocjami a jego naturalnie smutny wyraz twarzy wymieszał się ze strachem i żalosną niepewnością.

- Nie... pański brat. Bassel. Miał dziś rano wypadek w drodze na lotnisko. Nie przeżył. Bardzo...

- Nie! Zamknij się!

Jasne oczy Bashara wypełniły się łzami. Ukrył je w wypielęgnowanych dłoniach i przez dłuższy czas szlochał pogrążony w rozrywającej go od środka rozpacz. Po chwili jednak uspokoił się i ocierając resztki łez wyprostował się na skórzanym fotelu. Spoglądając przez szybę ambadorskiej limuzyny na przemykające pośpiesznie chmury nad pobliskim parkiem Euston Square Gardens, w jego smutnych oczach pojawił się blask. Nagle uświadomił sobie, że ta wiadomość jest nadzwyczaj wieloznaczna i w istocie może pociągnąć za sobą niesłychany przebieg wydarzeń. Los najwyraźniej zechciał, żeby to nie jego brat, predystynowany od dawna do objęcia władzy, a właśnie on sam, Bashar al-Assad, zwykły student okulistyki, miał w niedługim czasie zostać przywódcą syryjskiego narodu. Głową rządzących. Wielbionym pod niebiosą, krwawym dyktatorem swej wielomilionowej ojczyzny.

Aleppo, 22 maja 2009.

Majowe popołudnie było duszne i skwarne, jak zwykle o tej porze roku. Chowając się przed żarem w cieniu suków pod cytadelą Kalat Halab nawet nie zauważam przez półprzymknięte powieki wpatrującego się we mnie starca.

- To musi być bardzo gorąco.

- Proszę? – odzywam się odruchowo do cichego głosu gdzieś z tyłu.

- To musi być bardzo gorąco dla przybysza z daleka – dopiero teraz zauważam wysokiego, lekko przygarbionego starca, któremu wejście do kramu zagrodiłem.

- Tak, wyjątkowo – uśmiecham się i ocieram spoconą twarz.

- Czy zechciałbyś napić się herbaty? – rzecze starzec uchylając wejścia i zapraszając gestem chudej ręki do środka. Dopiero teraz zauważam jego bardzo dobry, choć wyraźnie starej daty angielski.

Wchodzę do malutkiego sklepiku i rozglądam się po tysiącach półek dźwigających pół Bliskiego Wschodu. Mosiężne misy i perłowe koraliki. Zdobione zastawy i ołowiane żołnierzyki. Oliwkowe mydło i figowe powidło. Zapach kminku z wielkiego jutowego wora w rogu miesza się z oparami zaparzonej przez starego kramarza herbaty. Zawieszam oko na przytwierdzonym do stropu wyblakłym portrecie prezydenta, w ciemnych okularach, galowej czapce i zapiętym pod sam podbródek wyjściowym mundurze.

- Powiesiłem go lata temu – słyszę od strony kontuaru.

- Z własnej woli?

Starszy człowiek uśmiecha się do siebie nalewając do małych szklaneczek parującej herbaty.

- Syria to wolny kraj. Nikt nikomu nie mówi jak ma postępować.

- A to – wskazuję na zawieszone na kołku liczne naklejki z konturem twarzy prezydenta, tak chętnie naklejane tu na boczne, tylne, a nawet frontowe szyby samochodów – pewnie też wszyscy sami z siebie kupują? Nie żeby się komuś... przypodobać?

- Nie siedzę w głowach swoich klientów. Prezydent jednak wydał niedawno postanowienie, żeby nie naklejać ich na przednie szyby ze względów bezpieczeństwa.

- Prawdziwy dobroczyńca – ironizuję.

Starzec siada powoli na skrzypiącym, drewnianym krzeselku przy kontuarze i bierze nieśpiesznie łyk herbaty ze swojej małej szklaneczki.

- Wiem, co ci chodzi po głowie – jego pomarszczona twarz znów układa się w wąskim uśmiechu

- uwierz mi jednak, że Syria jest na drodze do pełnej wolności. Już teraz jest coraz lepiej niż za starego. Jedziesz do Damaszku?

- Właściwie to zaraz miałem ruszać – mówię biorąc łyk herbaty.

- Przemierzając Syrię sam zobaczysz, że tu nikt nikomu nie wadzi. Po drodze do Damaszku miniesz kilka chrześcijańskich wiosek, jak Maharda. To takie nasze małe wyspy, gdzie chrześcijanie żyją sobie spokojnie od pokoleń i nikt im krzywdy nie robi. Natomiast w górach, na wschód od Damaszku, znajduje się Deir Mar Musa. Klasztor, gdzie mnisi różnych obrządków żyją ze sobą w zgodzie i nikt ich nie nęka. Stań u ich progu, nikt cię tam nigdy o wyznanie ani cel wizyty nie spyta. Dostaniesz swoją jaskinię z materacem, jedzenia i wody ile będziesz chciał, wierzący czy nie. Albo te posągi w Palmirze. Nikt już nawet nie pamięta, jakim to starodawnym bóstwom miały służyć, a stoją sobie w najlepsze. Nawet ten wasz, jak mu tam, Internet jest dostępny u nas dla wszystkich!

- Prawdziwy raj tu macie – mówię, starając się nie wgłębiać mojego rozmówcy w temat VPNów i zmieniarek proxy służących omijaniu rządowych blokad.

- Nawet rodzina prezydencka – kontynuuje kramarz - są alawitami, to pewnie wiesz. A też nikomu to raczej nie przeszkadza. Chociaż... - starzec przerywa i zamyśla się na chwilę.

-Co ma pan na myśli?

-Eh... gdy wspinasz się na szczyt stromego wzgórza, kamienie spod twoich stóp sypią się w oczy tych, którzy idą za tobą. Ja wierzę, że w Syrii może być coraz lepiej. Najważniejsze tylko, aby brat bratu noża nie wbijał – w długich lnianych szatach z uniesionym palcem starzec wygląda jak starożytny kaznodzieja kończący kazanie.

Dopijam herbatę i żegnam się z kramarzem. Przekraczając próg sklepu dochodzi mnie jeszcze raz głos starca.

- Gdy dotrzesz do Damaszku, wejdź na górę Qasioun nieopodal miasta. Rozciąga się stamtąd przepiękny widok na całą stolicę.

Uśmiecham się serdecznie i chcę odejść, odnoszę jednak wrażenie, że kramarz chce coś jeszcze dodać.

- To tam Kain zabił Abla.

Słońce jakby odpuściło w swej pięknej zawziętości. Muszę się spieszyć, niedługo będzie się ściemniać a muszę jeszcze wypytać o drogę do Deir Mar Musa. Spoglądam w niebo nad cytadelą. Ciemne chmury zdają się przesuwać gdzieś w oddali.

Galeria do opowiadania znajduje się na <http://wanderlust.pl/gallery/syria/>